

Hrabyk, Klaudiusz

Wspomnienia : część III

Rocznik Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego 9/4, 543-571

1970

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

KLAUDIUSZ HRABYK

WSPOMNIENIA

Dwa pierwsze, kolejne fragmenty *Wspomnień* Klaudiusza Hrabyka ogłosiliśmy w 3 zeszytach tomu VIII „Rocznika”, obejmując nimi rozdziały o pracy dziennikarskiej autora w Krakowie (1920—1925), na Górnym Śląsku (1925—1926) i ponownie w Krakowie (1926), następnie zaś we Lwowie od r. 1926. Niniejszy fragment obejmuje dalszy ciąg okresu lwowskiego do 1928 r.

Redakcja

[...] Rok 1927 rozpocząłem we Lwowie dalszym ciągiem inicjatyw. W tym czasie właśnie rozeszły się pogłoski, że rząd zamierza rozwiązać Radę Miejską Lwowa i mianować komisarza rządowego. „Słowo Polskie” podjęło energiczną kampanię przeciw zamierzonemu zamachowi na samorząd. Z ramienia pisma odbyłem wywiady z wszystkimi czołowymi przedstawicielami miasta, bez względu na ich przynależność polityczną, narodowość i wyznanie. Rozmowy wykazały, że wszyscy jednomyślnie wypowiadają się przeciw komisarzowi, a niektórzy domagają się nowych wyborów. Odbyłem i opublikowałem wtedy kolejne rozmowy z wojewodą Garapichem, prezydentem miasta Neumanem, wiceprezydentami prof. Chlamtaczem i Obirkim z PPS; radnymi: Próchnickim, prof. Thullie, Terenkoczym, Bogdanowiczem, red. Laskownickim, prof. Wereszczyńskim, Włodzimierskim, Loewenherzem, Ukraińcem Fedakiem i przedstawicielem Żydów Chajesem.

Kampania dała rezultat o tyle pomyślny, że rząd pomajowy wycofał się na razie ze swoich planów, zaprzeczając, jakoby miał zamiar Radę Miejską rozwiązywać. Pamiętam, że odmówił mi wtedy wywiadu jedynie endecki wiceprezydent Lwowa Leonard Stahl, ojciec Zdzisława, mego ówczesnego przyjaciela politycznego, oświadczając, że sprawa Rady Miejskiej i jej losy w ogóle nic go nie obchodzą, a on sam ogranicza swój udział w rządach miasta tylko do pobierania pensji. Jeżeli rząd — powiedział mi Leonard Stahl — Radę rozwiąże, to ja, jako wiceprezydent, nie zamierzam temu przeciwdziałać.

Rząd w końcu Radę Miejską rozwiązał i przez kilka lat odbywał się na ratuszu lwowskim kontredans komisarzy rządowych. Byli nimi kolej-

no: Jan Strzelecki przysłany z Warszawy, potem prof. Politechniki Lwowskiej Otto Nadolski, następnie Wacław Drojanowski także z Warszawy, najdłużej zapisany na tym stanowisku, aż w końcu w późnych latach trzydziestych prezydentem miasta wybrany został prof. Stanisław Ostrowski. Stary, jeszcze z okresu austriackiego i usunięty przez sanację, prezydent Lwowa, Józef Neumann, zmarł w r. 1933. [...]

Inną okazją do wywiadu prasowego stał się zjazd rosyjskiej organizacji politycznej Ruskie Narodne Objednanie. Na jego czele stał poseł Sieriebriannikow, a we Lwowie przedstawicielami tej grupy byli adw. dr Głuszkiewicz i sędzia Tretiak. Grupa ta uważała się za obywateli polskich narodowości rosyjskiej i nie wykluczała swoich związków politycznych z Rosją. Inną podobną grupą był odłam radcy skarbowego Jana Sasa Liskowieskiego, uznający jednak tylko kulturalne i oświatowe powiązania z Rosją, ale nie polityczne. Obie grupy były przez nas popierane przeciw ruchowi ukraińskiemu. Z punktu widzenia interesów polskich wydawało się korzystniejsze istnienie na obszarach wschodnio-południowych Polski możliwie najbardziej wpływowych odłamów przyznających się do związku raczej z Rosją aniżeli z Ukrainą. Zjazd zwolenników posła Sieriebriannikowa poparliśmy dlatego bez zastrzeżeń, a moje wywiady z przywódcami tej grupy, wśród nich z wymienionym posłem Sieriebriannikowem i drem Głuszkiewiczem, były wyrazem naszego życzliwego stosunku do ich inicjatywy. Warto dodać, że istniała także lewica rosyjska z drem Walnickim na czele, który przewodził później „Selrobowi” o tendencjach komunistycznych.

Kolejny wywiad przeprowadziłem z księciem Januszem Radziwiłłem, który przybył do Lwowa na inaugurację grupy Prawicy Narodowej, tj. konserwatystów rekrutujących się z magnatów i wielkich ziemian wschodnio-małopolskich. Radziwiłła pytałem o jego stosunek do reformy rolnej, idei federacyjnej, mniejszości narodowych, wyborów sejmowych, stosunku do OWP.

Miałem też wywiad z następcą zamordowanego kuratora Sobińskiego — Riemerem. Ale nie ograniczyłem się tylko do wywiadów prasowych. W tym okresie pełniłem również obowiązki sprawozdawcy z Rady Miejskiej i z Izby Przemysłowo-Handlowej. Na wstępie r. 1927 na łamach „Słowa Polskiego” ogłosiłem artykuł pt. *Niebezpieczny program*, w którym wystąpiłem stanowczo przeciw książce Wacława Mejbauma pt. *Podstawy narodowego myślenia i narodowej polityki*. Książka ta ukazała się z końcem grudnia 1926 r. Oznaczała ona oczywistą dywersję w stosunku do powołanego właśnie do życia Obozu Wielkiej Polski, ponieważ wyrażając ideologiczne i polityczne stanowisko tego obozu, ukazała się poza Obozem i bez aprobaty jego władz. Mejbaum i towarzysze zostali głęboko zawiedzeni pominięciem ich w akcji Obozu Wielkiej Polski.

Moje wystąpienie na łamach „Słowa” — oficjalnego organu partyjnego, w którym grupa Mejbauma odgrywała niepoślednią rolę, było z jednej strony wyrazem dezaprobaty kół Obozu wobec publikacji Mejbauma, z drugiej zaś świadczyło o mojej wzmocnionej pozycji w redakcji dziennika, która pozwalała mi na publiczną krytykę poglądów przywódców grupy, której działacze byli politycznymi publicystami „Słowa Polskiego”.

Był to pierwszy poważniejszy mój sukces na gruncie lwowskim, także na odcinku politycznym. Sukces odniesiony dość szybko, bo w niespełna cztery miesiące od chwili mego przybycia do Lwowa.

Niebawem na łamach dziennika wystąpiłem przeciw innemu publicyście „Słowa Polskiego” — Władysławowi Kozickiemu. Ogłosił on obszerną recenzję z wystawionej właśnie we Lwowie *Róży* Stefana Żeromskiego, poddając jej treść surowej krytyce z pozycji ideologicznych. Wkrótce ukazała się moja równie obszerna odpowiedź. Ogłosiłem ją pod tytułem: *Czy „Róża” jest agitacją rewolucji?* Swoje poglądy wyłożyłem w dwu odcinkach artykułu, w którym pisałem m. in.:

„Nasz stosunek do literatury był często naiwny. Negowaliśmy w niej wszystko, co wydawało się nam nie dość patriotyczne. Każdy odcinek życia, krzyku społecznego, zagadnień socjalnych — uważaliśmy za niepożądany balast, czasem za zbrodnię. Małostkowo interpretowaliśmy różne szczegóły w literaturze, upatrując w nich zamach na uświęcone ideały polskie. Koroną tego są zarzuty przeciw *Róży* i *Przedwiośni* [...] *Róża* Żeromskiego jest dziełem zawierającym twórczą i pozytywną myśl, prześiąkniętą najdalszą refleksją na historyczną przeszłość i rozwiązującą ciężkie problemy współczesnego życia polskiego. *Róża* w dzisiejszej chwili historycznej stanowi syntezę myśli polskiej [...] Propaguje ona rzeczywiście rewolucję. Ale ma to być rewolucja skierowana przeciw dotychczasowemu stanowi rzeczy, przeciw zastojowi moralnemu i materialnemu, przeciw destrukcji i anarchii próżniactwa, które przytłacza nas swoim ciężarem. Wier robotniczy (w *Róży*) otwiera przed nami całą rzeczywistość i otchłań problemu socjalnego, który my, nacjonaści, musimy rozwiązać, jeśli nie chcemy, aby rozgoryczone masy nie rzuciły się do bratobójczej walki”.

Brak jakiegokolwiek polemiki z tym wystąpieniem zdawał się wskazywać, że redakcja uznała słuszność tezy mojej, a nie Władysława Kozickiego.

W tym czasie opublikowałem recenzję z książki prof. Leopolda Caro pt. *Myśli Japończyka o Polsce*. Recenzja ogłoszona pod tytułem *Pseudojapońskie recepty* przeciwstawiała się tezom prof. Caro, dotyczącym nacjonalizmu.

Niebawem stałem się sprawcą poważnego konfliktu. Na dzień 19 mar-

ca zapowiedziano przemianowanie ulicy Pańskiej na ulicę Józefa Piłsudskiego. W przeddzień tej ceremonii zamieściłem dłuższą notatkę w „Słowie Polskim”, w której ograniczyłem się do dosłownego zacytowania opisu analogicznej uroczystości sprzed 10 laty, kiedy to w dniu 21 października 1917 r. ta sama ulica we Lwowie przemianowana została na ulicę gen. Boehm-Ermollego, austriackiego zdobywcy Lwowa, okupowanego wówczas przez Rosjan. Opis uroczystości ze wszystkimi szczegółami znajdował się w ówczesnej „Gazecie Lwowskiej”, oficjalnym organie namiestnika austriackiego. W czasie tej uroczystości jeden z mówców zapewnił, że ulica będzie nosiła nazwisko Boehm-Ermollego „po wieczne czasy”. Mojej notatce w „Słowie” nadałem także tytuł *Po wieczne czasy* i po zacytowaniu przedruku, bez komentarzy umieściłem wiadomość, że nazajutrz, w dniu 19 marca, odbędzie się przy ul. Pańskiej uroczystość kolejnego jej przemianowania na ulicę J. Piłsudskiego.

Notatka spowodowała gwałtowną reakcję. Nazajutrz w redakcji „Słowa Polskiego” zjawili się trzech umundurowanych oficerów z 40 pp., kapitanowie Franciszek Wąsowicz, Bogdan Sołtys i Stanisław Łodziński, i w gabinecie redaktora naczelnego Wąsowicz znieważył czynnie Romana Kordysa, oświadczając przy tym, że notatka obraziła korpus oficerski.

Sprawa wywołała szerokie echo. W dwa dni potem zebrali się przedstawiciele całej lwowskiej prasy, bez względu na jej kierunki polityczne, i pod przewodnictwem prezesów Syndykatu Dziennikarzy i Towarzystwa Dziennikarzy, Bronisława Laskownickiego i Zygmunta Frylinga, podjęli uchwałę, w której stwierdzili, że odmawiają „prawa jednostkom czy grupom orzekania, czy nastąpiło nadużycie swobody słowa i wysnuwania z tego konsekwencji w formie samowoli. Należy — głosiła uchwała — takim wypadkom samosądu rzekomo w obronie korpusu oficerskiego raz na zawsze położyć kres”. Na forum sejmowe została wniesiona interpelacja do ministra spraw wojskowych. Prof. Oswald Balzer nadesłał list do Kordysa z wyrazami solidarności i oburzenia. W kilka tygodni później odbyła się w sądzie wojskowym rozprawa przeciw kpt. Wąsowiczowi, w której sprawca najścia na redakcję został zwolniony od winy i kary, ponieważ, jak opiewał wyrok, działał „pod nieodpornym przymusem”. Później wyższa instancja skazała Wąsowicza na trzy dni aresztu.

Z innych moich inicjatyw warto wspomnieć o wywiadzie z prezesem Stowarzyszenia Weteranów Armii Polskiej w Ameryce płk. Starzyńskim, bawiącym w tym czasie we Lwowie z wycieczką członków swojej organizacji, którą bardzo serdecznie witano i goszczono. W obszernym wywiadzie, jakiego udzielił mi wtedy Starzyński, nie ograniczył się on tylko do ogólnych, konwencjonalnych uwag, ale poddał krytyce stosunki w Polsce i wypowiedział różne opinie dotyczące wewnętrznych stosunków pol-

skich. Starzyński wyraźnie występował przeciw Piłsudskiemu, angażując się w swojej wypowiedzi nawet dość radykalnie.

W czasie pobytu wycieczki weteranów polskich z Ameryki, którzy reprezentowali byłych żołnierzy armii gen. Hallera z USA z okresu I wojny światowej, zmarł nagle we Lwowie uczestnik tej wycieczki Emil Banasik z Chicago, redaktor „Zjednoczenia” — organu Polsko-Rzymsko-Katolickiego Zjednoczenia w Stanach Zjednoczonych. Podczas pogrzebu, jaki odbył się na cmentarzu Łyczakowskim, przemawiałem nad grobem Banasika, żegnając go w imieniu dziennikarzy lwowskich. Spotkanie z płk. Starzyńskim i ostatnia posługa oddana dziennikarzowi polsko-amerykańskiemu stały się pierwszą w moim życiu okazją do nawiązania kontaktu z Polonią amerykańską, z którą w wiele lat później tak blisko i bezpośrednio współpracowałem w Stanach Zjednoczonych. Nic jednak jeszcze wówczas nie wskazywało na to, że znajdę się kiedyś w Nowym Jorku na długie lata przymusowego tam pobytu [...].

* *
*

W lipcu 1927 r. z ramienia „Słowa Polskiego” brałem udział w pogrzebie Juliusza Słowackiego w Krakowie i ogłosiłem dwie obszernie relacje z uroczystości, która stała się wtedy potężnym przeżyciem dla całej Polski.

Innym razem uczestniczyłem w wycieczce dziennikarskiej do kopalni soli potasowych w Kałuszu, z których opublikowałem dłuższe korespondencje. Jako drobny przyczynek do obyczajowości ówczesnego dziennikarstwa, warto może przytoczyć charakterystyczny incydent z tej wycieczki. W czasie wykwintnego obiadu, urządzanego przez dyrekcję kopalni, zastaliśmy obok zastawy stołowej dużą kopertę, w której były różne materiały informacyjne dotyczące produkcji zakładu, a wśród nich także mała koperta, zawierająca banknot 500-złotowy dla każdego z uczestników wycieczki dziennikarskiej. Obowiązywała zasada, że dziennikarz nie może od zainteresowanych osób czy instytucji przyjmować żadnych gratyfikacji pieniężnych za swoje usługi prasowe wykonywane z ramienia pisma, którego był współpracownikiem. Jeżeli zaś wręczono mu tego rodzaju gratyfikację, był zobowiązany przekazać całą sumę administracji swojego pisma, która — traktując je jako opłatę inseratową — mogła, choć nie musiała, wypłacić dziennikarzowi przewidzianą prowizję.

Dlatego zawiadomiłem moich współkolegów, że postąpię zgodnie z tą zasadą i oddam pieniądze administracji „Słowa Polskiego”. Kilku z nich uważało to za niesłuszne i usiłowało mnie przekonać, że należy uważać otrzymane pieniądze za prezent osobisty ze strony uprzejmej dyrekcji, rewanżującej się nam za trud poniesiony w związku z wizytą w kopalni.

Nie podzielałem tej opinii i w końcu wszyscy z nas oddali otrzymaną gratyfikację administracjom swoich pism. Zwolennicy innego rozwiązania tej sprawy, obawiając się, że administracje dzienników dowiedzą się o całej sprawie od dyrektorów tych pism, którym gratyfikacja będzie doręczona, dostosowali się także do postanowienia pozostałych kolegów.

Od czerwca 1927 powierzono mi w redakcji „Słowa” redagowanie cotygodniowego dodatku pt. „Życie Prowincji”, w którym ogłaszaliśmy liczne relacje naszych korespondentów prowincjonalnych ze wszystkich większych miast i miasteczek Małopolski Wschodniej. Ich ilość i zasięg były dowodem wpływów i oddziaływania pisma na całe społeczeństwo. Żadne z pism lwowskich nie posiadało wówczas tak rozległej siatki swoich stałych korespondentów prowincjonalnych.

W lipcu święciliśmy 30-letni jubileusz naszego seniora redakcyjnego Władysława Szenderowicza. Odbył się bankiet w Hotelu Krakowskim, na którym sławili jubilata mówcy nie tylko z naszej redakcji, ale również przedstawiciele dziennikarstwa w osobach Frylinga i Rollego, nie mówiąc o mnóstwie depesz i życzeń z całej Polski. Z ramienia redakcji przemawiali: Kucharski jako wydawca, Kordys, Zahradnik, Mękarski i ja. Wydaliśmy specjalny, wewnętrzny numer „Słowa Polskiego” z bogatą, żywą i w dużej części żartobliwą treścią, poświęconą „tatuńcowi”. Numer ten, będący już wtedy „białym krukiem”, nie zachował się chyba w zawierusze wojennej. Tego rodzaju koleżeńskie okazje — połączone z bogactwem pomysłów i serdecznością przyjaznych węzłów, łączących zespoły redakcyjne owych czasów — posiadały niepowtarzalny swój urok, stanowiąc niezapomniane momenty współżycia, solidarności i wzorowej atmosfery obowiązującej w środowisku dziennikarskim. Pamiętam, że po całonocnej, jubileuszowej libacji o wschodzie słońca ruszyliśmy gromadnie na lwowski Wysoki Zamek, tam kończąc rozmowy i wspominki, które, jak się wydawało, wypełniły już bogato długie lata naszego współdziałania. Nie wiedzieliśmy i nie przeczuwaliśmy wówczas ani przez chwilę, że te sielskie, anielskie godziny są zaledwie epizodem, poprzedzającym późniejsze lata, pełne grozy i śmiertelnej zagłady.

Jesienią 1927 r. ponowiłem kampanię w sprawie już siódmych Targów Wschodnich, ogłaszając o nich dłuższą serię artykułów. „Słowo Polskie” wydało specjalny numer, poświęcony tej gospodarczej imprezie.

Przeżyłem jednak w tym czasie także inne, szczególne wydarzenie, które warto chyba utrwalić. Z początkiem września lwowskie koła legionowe postanowiły urządzić obchód z okazji 40-lecia kapłaństwa biskupa Władysława Bandurskiego. Sprawa nie okazała się jednak łatwa. Biskup Bandurski był w czasie I wojny głównym kapłanem Legionów Piłsudskiego i związał się zarówno z nimi, jak z ich komendantem. Uchodził za biskupa postępowego, a ponadto zachowywał się podobno czasem w spo-

sób nie licujący z autorytetem dostojnika kościelnego. Był natomiast znakomitym kaznodzieją, niewątpliwie gorącym patriotą i cieszył się powszechną popularnością wśród legionistów. Wystarczało to zupełnie, aby idący własnymi drogami i nie dość zdyscyplinowany purpurat znalazł się w ciężkim konflikcie z całym episkopatem. Bandurski nie pełnił funkcji w żadnej diecezji i był niedwuznacznie bojkotowany i nie zauważany przez hierarchię kościelną. Organizatorzy obchodu lwowskiego zdawali sobie sprawę z tych trudności, wobec czego postanowili pokonać je podstępem.

Plan swój zrealizowali w sposób dość pomysłowy. Utworzono komitet 60-lecia Straży Pożarnej Tow. Sokół i jego delegacja udała się najpierw do lwowskiego arcybiskupa Bolesława Twardowskiego, aby zaprosić go do honorowego prezydium tej uroczystości. Ponieważ upewniono się, że arcybiskupa nie ma we Lwowie, oświadczone w kurii, że zgodę na udział w prezydium wyraził już poprzednio arcybiskup Józef Teodorowicz i wobec tego komitet zaprasza do udziału również drugiego arcybiskupa. Twardowski, poinformowany na czasach o zaproszeniu, nie namyślając się długo przyjął zaproszenie, tym bardziej że sprawa dotyczyła tak bezspornej instytucji społecznej jak Straż Pożarna. Mając pisemną zgodę jednego arcybiskupa, delegacja zwróciła się wtedy do arcybiskupa Józefa Teodorowicza i przedstawiając mu pisemną decyzję Twardowskiego, a nie wspominając ani słowem o jubileuszu Bandurskiego, uzyskała z kolei aprobatę Teodorowicza. Ponadto do prezydium honorowego zaproszono wojewodę Garapicha i gen. Sikorskiego, pełniącego jeszcze wtedy funkcję dowódcy okręgu. Po uzyskaniu zgody obu arcybiskupów komitet ogłosił odezwę z podpisami wszystkich członków honorowego prezydium, z której jednak okazało się, że nie chodzi o 60-lecie Straży Pożarnej, ale o 40-lecie biskupa Bandurskiego. Uroczystości strażackie miały być w tym jubileuszu tylko skromnym fragmentem ogólnego obchodu.

W hierarchii lwowskiej zawrzało. Prawdopodobnie jednak sprawa skończyłaby się polubownie, gdyby nie arcybiskup Teodorowicz, który nie dał za wygraną. Reprezentował on wśród hierarchii kościelnej w Polsce pozycję wyjątkową. Ormianin z pochodzenia, stał na czele diecezji ormiańskiej we Lwowie posiadającej stare, znakomite tradycje. Człowiek dużej kultury i wykształcenia, świetny, porywający kaznodzieja — należał do typu fanatyków i powinien był poświęcić swoje zdolności raczej świeckiej karierze politycznej. W pierwszych latach po wojnie Teodorowicz brał czynny udział w życiu politycznym, wchodził nawet w skład Sejmu, gdzie stawał na trybunie poselskiej, aż w końcu Watykan zakazał biskupom przyjmowania mandatów sejmowych. Teodorowicz nie zrezygnował jednak z ambicji politycznych i rozwijał je nadal, korzystając z potężnych

swoich wpływów w niektórych kołach społeczeństwa. Nie należał do endecji i był w rzeczywistości jej utajonym przeciwnikiem. Związał się natomiast z grupą zbliżoną do endecji, której przewodzili profesorowie Edward Dubanowicz i Stanisław Stroński. Grupa ta znajdowała się w stałym konflikcie z Dmowskim i wysuwała w pewnym okresie Paderewskiego przeciwstawiając go w różnych rozgrywkach — zresztą bezskutecznie — przywódcy Narodowej Demokracji. W rzeczywistości grupa E. Dubanowicza i S. Strońskiego reprezentowała ten odłam wielkiej własności ziemskiej, który, nie należąc do konserwatystów, nie chciał także bezpośrednio wiązać się z Dmowskim jako parweniusem i zbyt skrajnym nacjonalistą. Teodorowicz udzielał poparcia tej właśnie grupie. Endecja czyniła wiele, aby związać z sobą ormiańskiego metropolitę, ale próby te nie dały nigdy rezultatu.

Arcybiskup obdarzał natomiast dużym poparciem młodzież endecką i interesował się żywo jej działalnością. Prawdopodobnie spodziewał się, że w ten sposób zyska wśród niej szczególną popularność i potrafi utrwalić wśród niej wpływ większy niż ktokolwiek inny. W czasie mego pobytu we Lwowie pozostawałem z metropolitą Teodorowiczem w przyjaznych i — jak na młodego wówczas człowieka — nawet bliskich stosunkach. Miałem do niego wstęp w każdej chwili i cieszyłem się jego znacznym zaufaniem. Bywałem gościem w jego rezydencji przy ul. Ormiańskiej, a w latach nieco późniejszych — w starciu z endecją — arcybiskup Teodorowicz udzielił mi nawet poparcia swoim autorytetem.

Po raz pierwszy poznałem arcybiskupa właśnie we wrześniu 1927 r. z okazji obchodu 40-lecia biskupa Bandurskiego. Pewnego dnia naczelny redaktor Kordys polecił mi udać się do Teodorowicza i przygotować materiał prasowy ściśle wedle jego życzenia i wskazówek. Udając się z wizytą do tak wysokiego dostojnika, nie wiedziałem nawet, jakiej sprawy dotyczy moja misja, zastrzeżona jako ściśle poufna. Kordys nie poinformował mnie o temacie rozmowy, polecając jedynie wysłuchać stanowiska i wskazówek arcybiskupa. Zostałem przez niego przyjęty osobiście i Teodorowicz powiadomił mnie, że podyktuje mi artykuł, który powinien ukazać się nazajutrz rano w piśmie, w formie zwracającej główną uwagę czytelników.

Usiadłem za biurkiem mego dostojnego gospodarza, który, chodząc po pokoju, zaczął mi słowo w słowo dyktować artykuł dotyczący sprawy biskupa Bandurskiego i tych wszystkich okoliczności, które zaszły w związku z podstępny angażowaniem obu arcybiskupów do prezydium honorowego. Artykuł był wymierzony zarówno przeciw organizatorom obchodu, jak także przeciw jubilatowi i oczywiście musiał spowodować reakcję społeczeństwa zarówno przeciw Bandurskiemu, jak komitetowi jego

jubileuszu. Dyktat artykułu trwał dość długo, ponieważ był obszerny. Nazajutrz, 11 września, ukazał się pod tytułem *Przykra sprawa*, jako wypowiedź redakcyjna bez podpisu, na pierwszej stronie. Artykuł wydrukowany półgrubym drukiem, z tytułem na całą szerokość kolumny, zajął przeszło cztery szpalty. Z punktu widzenia zarówno sensacji dziennikarskiej, jak politycznej była to klasyczna bomba prasowa o skali krajowej. Sądziłem jednak, że cała sprawa jest już zakończona, ponieważ sam obchód jubileuszu biskupa Bandurskiego nie interesował naszej redakcji. Pozostawialiśmy losy Bandurskiego i jego zwolenników ich własnemu biegowi.

Jakież więc było moje zdumienie, gdy w cztery dni później Kordys zaprosił mnie ponownie do swego gabinetu i zlecił mi z kolei udać się do Zakładu Naukowego im. dr. Torosiewicza przy ul. Ormiańskiej na uroczystość powitania biskupa Bandurskiego przez arcybiskupa Teodorowicza. W pierwszej chwili sądziłem, że zachodzi jakieś nieporozumienie, ale dyspozycja redaktora była jednoznaczna. Udałem się zatem ponownie na ul. Ormiańską, tyle że nie do rezydencji metropolity, ale tuż obok, do instytucji podlegającej jego protektoratowi. Znalazłem się na widowni i stałem się świadkiem niezrównanej sceny, której nigdy w życiu już nie zapomnę. Na podium, w otoczeniu małych dzieci i zakonnic i wśród odpowiedniej dekoracji, zajmował honorowe miejsce biskup Bandurski, a obok niego znajdował się fotel onegdajszego mojego dostojnego rozmówcy, arcybiskupa Teodorowicza, który zabrał głos i powitał jubilata. Najpierw w najwykwintniejszych słowach sławił długo jego zasługi i cnoty, a następnie oświadczył, że aby położyć kres „domysłom i pogłoskom o stosunku episkopatu polskiego do jubilata”, arcybiskup sprawę tę w imieniu własnym i episkopatu „autentycznie wyjaśnia”, korzystając z „ciepłego, jakby rodzinnego środowiska, aby wyrównać zgrzyty, bardzo przykre dla biskupów i dla Ciebie, księżę biskupie”.

Dosłowny tekst tego przemówienia został mi bezzwłocznie wręczony i nazajutrz ogłosiliśmy z kolei tę drugą wypowiedź arcybiskupa, wyrażającą zdecydowanie sprzeczną tendencję w porównaniu z podyktowanym mi przedtem i wydrukowanym artykułem. Nie badałem kulis tego epizodu, natomiast — opowiadając zaufanym przyjaciółom o tej mojej niecodziennej przygodzie przy ul. Ormiańskiej — dodawałem zawsze, że na jej kanwie po raz pierwszy w życiu zetknąłem się z tak kunsztowną metodą podwójnej dyplomacji wysokiego kościelnego purpurata w rozgrywce z drugim dostojnikiem Kościoła. Przyznam, że podziwiałem ten kunszt, ale nigdy nie rozgryzłem jego podkładu moralnego.

Przed ustąpieniem z redakcji „Słowa Polskiego” w r. 1928 opublikowałem kilka wywiadów. W styczniu odbyłem wywiad z rzekomym spraw-

cą zamachu na prezydenta Wojciechowskiego — Stanisławem Steigerem, który, podejrzany o ten zamach, był sądzony przed trybunałem doraźnym i na szczęście nie został skazany na śmierć, ponieważ sprawcą okazał się później Ukraińiec, który zbiegł poza granice Polski. Policja spreparowała jednak dowody mające świadczyć o zbrodni Steigera i przedstawiła sądowi świadka w osobie baletnicy teatru lwowskiego niejakej Pasternakówny, zeznającej prawdopodobnie pod wpływem hysterii, że była naocznym świadkiem wykonania zamachu przez Steigera. Sprawa ta przez dłuższy okres czasu powodowała znaczne napięcia antyżydowskie. Mój wywiad ze Steigerem w kilka lat po jego procesie stanowił znaczną sensację prasową ze względu na kierunek mojego dziennika. Steiger w rozmowie ze mną jeszcze raz stwierdził, że nie miał żadnego związku z zamachem i że jedynym jego pragnieniem jest pozostawienie go w spokoju, aby mógł spokojnie poświęcić się pracy zawodowej w Polsce jako prawnik.

Drugi, podobny wywiad przeprowadziłem z drem Dmytrem Łewyćkim, prezesem UNDO, czyli Ukraińskiego Narodowo-Demokratycznego Zjednoczenia, największej — jak już wspomniałem — partii ukraińskiej. Szczegółowość tego wywiadu polegała na tym, że „Słowo Polskie” zajmowało bezkompromisowe, antyukraińskie stanowisko i zjawienie się jego przedstawiciela u przywódcy największej partii ukraińskiej było wydarzeniem co najmniej zaskakującym. Zjawiłem się w głównej siedzibie UNDO przy ul. Kościuszki, oświadczając, że jestem reprezentantem „Słowa Polskiego” i zamierzam odbyć wywiad prasowy z prezesem tej partii. Aktualna była wówczas sprawa wspólnej listy mniejszości narodowych w wyborach sejmowych i postanowiłem zasięgnąć informacji w tej sprawie u czołowego przedstawiciela mniejszości ukraińskiej.

Moje przybycie do głównej kwatery ukraińskiej, poprzednio nie zapowiedziane, spowodowało wyraźne podniecenie. Po dłuższej chwili zaproszono mnie do gabinetu dra Dmytra Łewyćkiego, w którego towarzystwie znajdowało się dwu lub trzech innych ludzi. Przedstawiłem cel mego przybycia i poprosiłem o wywiad dla mojego dziennika. Łewyćki zgodził się na rozmowę, ale na moje oświadczenie w języku polskim odpowiadał mi tylko w języku ukraińskim. Przeprosiłem mojego rozmówcę, że językiem tym nie władam, ale rozumiałem, że w ten sposób pragnie on podkreślić suwerenność terenu, na którym się znajdujemy i zdecydowałem się kontynuować rozmowę w ten sam sposób. Byłem zresztą w sytuacji rzeczywiście przymusowej, ponieważ językiem ukraińskim nie władałem. Łewyćki po kilku minutach rozmowy przeszedł jednak na język polski i prowadziliśmy ją już tak do końca naszego spotkania. Rozmowa odbywała się w atmosferze kurtuazyjnej i Łewyćki udzielił mi wszelkich wy-

jaśnień na stawiane pytania. Nazajutrz wywiad z nim, przedtem przez niego autoryzowany, ukazał się w piśmie, wywołując znaczne zainteresowanie opinii publicznej obu społeczeństw. Był to pierwszy po I wojnie światowej wywiad polskiego dziennikarza z czołowym ukraińskim przywódcą politycznym, reprezentującym opozycyjny, jeśli nie wrogi, stosunek do Polski.

Z innych wywiadów chcę zanotować moje rozmowy z wszystkimi bez wyjątku przedstawicielami list wyborczych we Lwowie przed wyborami w marcu 1928 r., wśród nich listy żydowskiej i ukraińskiej. Metoda tego rodzaju obiektywizmu w stosunku do przeciwników politycznych, i to w okresie przedwyborczym, nie należała w tych czasach do codziennego systemu służby dziennikarskiej w piśmie o charakterze partyjnym.

Z końcem stycznia rozpoczął się wielki proces przeciw domniemanym sprawcom mordu kuratora Stanisława Sobińskiego. Na ławie oskarżonych zasiadło 17 członków tajnej, terrorystycznej Ukraińskiej Organizacji Wojskowej, a wśród nich dwu oskarżonych o dokonanie mordu: Wasyl Atamańczuk i Iwan Werbycki. Inni byli oskarżeni przez prokuratora o akcję szpiegowską. Rozprawie przewodniczył sędzia Angielski w zespole złożonym z sędziów: Dworzaka, Mayera i Zgóralskiego. Oskarżał prokurator Laniewski, speejalizujący się m. in. w procesach ukraińskich. Na ławie obrońców znaleźli się najwybitniejsi przedstawiciele ukraińskiej palestry lwowskiej: Hankiewicz, Szuchewycz, Starosolski, Dawydiak, Maritzak i Wołoszyn, w imieniu wdowy po kuratorze Sobińskim występował adw. Nowak-Przygodzki, odgrywający rolę w Związku Obrońców Lwowa z r. 1918. Z ramienia „Słowa Polskiego” byłem sprawozdawcą prasowym na tym procesie i przez długie tygodnie ogłaszałem, niemal stenograficznie, relacje z jego przebiegu. Był to po procesie krakowskim z r. 1923 drugi z kolei proces-monstre, w którym brałem udział z ramienia prasy. Nie dokończyłem moich obowiązków w tym procesie, ponieważ pod sam jego koniec ustąpiłem z redakcji. Wyrok w procesie był skazujący, ale okazał się straszliwą pomyłką. Dwaj oskarżeni o dokonanie mordu, jak się później okazało, zostali wyznaczeni przez swoją organizację do odegrania roli winnych, aby w ten sposób ułatwić zatarcie śladów prawdziwych sprawców zamachu. Na szczęście nie zapadły wyroki śmierci, ale więzieni i skazani wyszli po kilku latach na wolność. Spotykałem później jednego z nich, bodaj Werbyckiego, w kawiarniach lwowskich.

Procesy ukraińskich nacjonalistów, które w tych latach odbywały się dość często i w których uczestniczyłem jako dziennikarz, posiadały zupełnie szczególny klimat. Na ławach oskarżonych zasiadali inteligentni ludzie i niewątpliwie ideowcy, którzy dokonywali aktów terrorystycznych,

ale sądzeni byli jako zbrodniarze. obrońcy prosili zawsze trybunał, aby skazanych na śmierć nie wieszano, ale rozstrzeliwano tak, jak żołnierzy. Pamiętam przemówienie adw. Szuchewycza, który przed sądem odczytywał różne wypowiedzi Piłsudskiego na temat rewolucyjnej walki z Rosją i powołując się na nie, wskazywał, że jego oskarżeni, klienci ukraińscy, stosują te same zasady w imię własnych ideałów narodowych. Robiło to na nas wszystkich duże wrażenie, chociaż nie pomniejszało przekonania, że z punktu widzenia interesów państwa akty terroru nie mogą pozostawać bezkarne. Czał się w tych procesach niewypowiedziany dramat i nierozwiązalna, zdawało się, tragedia. Zimna litera prawa pozostawała tu w wyraźnym konflikcie z rzeczywistością i faktami, które przemawiały okrucieństwem i fanatyzmem z jednej strony, zacierstwieniem i bezwzględnością w stosunku do aspiracji ukraińskich z drugiej.

Wymowa tych procesów, powtarzających się bez końca w ciągu wielu lat, nie powodowała w opinii polskiej we Lwowie żadnego otrzeźwienia, traktowano je jako naturalną reakcję przeciw zbrodni, opartą na zasadach formalnej sprawiedliwości. Zasłепienie w tej sprawie było nieograniczone i trwałe. Oskarżano za zbrodnie wszystkich wokoło, nie znajdując żadnej winy po własnej stronie i nie szukając przyczyny w błędach polityki polskiej wobec społeczeństwa ukraińskiego. To był bodaj największy dramat w całym tym trudnym problemie.

Na procesie sprawców zamachu na Sobińskiego zakończyłem moją współpracę ze „Słowem Polskim”.

Inicjatywy prasowe ożywiły klimat dziennika i rychło zdobyłem ustaloną pozycję w redakcji. Zanim jednak do tego doszło, na samym wstępie, jesienią 1926 r., zaszedł incydent, który łączył się z inicjatywą prasową wspomnianego tu już Bolesława Eustachiewicza. Do „Słowa Polskiego” przybyłem, jak już wiadomo, bezpośrednio po okresie bezrobocia i tę okoliczność wydawnictwo wyzyskało, aby zaoferować mi skromne warunki wynagrodzenia. Było ono znacznie niższe od poborów reszty zespołu redakcyjnego. Byłem z tego oczywiście niezadowolony, nie widząc powodu, abym miał ulegać wyzyskowi i dyskryminacji całkowicie w moim przekonaniu nieuzasadnionej.

W tym właśnie czasie Eustachiewicz, który pozostawał w bliskich stosunkach z Włodzimierzem Dzieduszyckim, zamożnym potomkiem znanej rodziny arystokratycznej, posiadającym ambicje i zainteresowania polityczne, namówił hrabiego do przeznaczania 30 tys. zł na założenie nowego dziennika we Lwowie. Miał on wyrażać bardziej zdecydowaną linię aniżeli zjałowiałe politycznie „Słowo Polskie”, opanowane przez Mejbauma i Mękarskiego. W kontakcie z Eustachiewiczem pozostawał W. Świrski i przy jego pośrednictwie Eustachiewicz zwrócił się do mnie z propozy-

cją, abym wstąpił do redakcji organizowanego pisma. Ponieważ zaoferował mi znacznie lepsze warunki pracy i szersze możliwości, a pismo miało posiadać kierunek, który nie budził we mnie zastrzeżeń ideologicznych i politycznych, ofertę przyjąłem, po czym zawiadomiłem Kordysa, że odchodzę ze „Słowa Polskiego”.

Kordys, który zapoznał się już z moim stylem i inicjatywą w pracy, zapytał, ile mi ofiarowano w nowym piśmie. Kiedy wymienilem sumę, redaktor „Słowa Polskiego” bez chwili wahania zaproponował mi podwójną stawkę w porównaniu z propozycją Eustachiewicza. Ta oferta nie wymagała żadnego namysłu. „Słowo Polskie” miało ustaloną opinię i pozycję, podczas gdy nowe, zamierzone pismo pod kierunkiem Eustachiewicza było na razie efemerydą. Uregulowanie warunków pracy w „Słowie” stało się dla mnie pełną satysfakcją, wobec czego propozycję Kordysa bezzwłocznie przyjąłem i unieważniłem umowę z Eustachiewiczem. Jego dziennik w jakiś czas później ukazał się w kioskach, drukowany w Drukarni Akademickiej przy ul. Krzywej, ale wychodził tylko trzy miesiące, po czym upadł. Aleksander Medyński złośliwie zanotował w kronice wypadków, że policja skonfiskowała na rynku lwowskim znaczną ilość tego pisma u jednej z przekupek, która używała tej makulatury jakoby do zawijania sprzedawanego masła.

Po upływie jednak niemal półtora roku, pomimo wysokiego poziomu „Słowa Polskiego” i jego pełnej żywotności, z końcem grudnia 1927 r. nastąpił poważny i raczej niespodziewany kryzys. Dotychczasowy wydawca pisma b. min. W. Kucharski — jak głosił wydany komunikat — przejął prawa własności do wydawnictwa w jednej połowie na rzecz Spółki Wydawniczej: Stanisław Głąbiński, Zdzisław Próchnicki i Leonard Stahl, w drugiej na rzecz Wacława Mejbauma i Kornela Krzeczunowicza — przedstawicieli grupy „Zespołu Stu”. Oznaczało to zwrot, który dla „Słowa” w ostatecznym bilansie zakończył się dramatycznie, ponieważ dziennik ten w kilka lat później został zlikwidowany.

Powodów załamania w r. 1927 było kilka. Dziennik posiadał wprawdzie, jak na ówczesne czasy, dość znaczny nakład, wynoszący około 12 tys. egzemplarzy, ale nie chroniło to pisma od trudności. Kucharski nie chciał nadal pokrywać niedoborów, a partia również nie rozporządzała dostatecznymi funduszami na stałe i znaczne subwencjonowanie pisma, drukarni i domu. Poważny wpływ na sytuację „Słowa” wywarły także zmiany wewnętrzne w Polsce. Pomimo znacznych dotychczasowych wpływów endecji w tej części kraju nastroje i sympatie ogółu społeczeństwa na wschodzie polskim wypowiadały się w znacznej części za Piłsudskim, a w każdym razie nie były chętne zbyt gwałtownej przeciw niemu opozycji. We Lwowie powstało pismo sanacyjne pt. „Dziennik Polski”, redak-

gowane najpierw przez Romana Lutmana, a następnie przez Olgierda Górkę. Pismo wprawdzie nie posiadało jeszcze dostatecznie umocnionego gruntu wśród społeczeństwa, ale niemniej stanowiło organ przeciwstawiający się publicznie sugestiom „Słowa Polskiego”. Znaczną część czytelników „Słowa” tworzyli od dawna urzędnicy i ludzie uzależnieni w różnej formie od rządów i wyczekujący w tym czasie ostrożnie na dalszy rozwój wypadków. Niechętni radykalnej opozycji byli również ziemianie. Władze sanacyjne podjęły akcję częstych konfiskat pisma, co narażało je na znaczne straty finansowe.

W r. 1926 — w pół roku po zamachu majowym — „Zespół Stu”, istniejący formalnie już od r. 1923, zaproponował Kucharskiemu odstąpienie udziałów pisma. Pertraktacje w tej sprawie prowadzili Mejbaum i Krzeczunowicz. Kucharski uzależnił swoją zgodę od decyzji Jana Rozwadowskiego, który we Lwowie reprezentował najwyższy szczebel Ligi Narodowej i był główną, chociaż ściśle zakonspirowaną, postacią endecji, lwowskiej. Jego znaczenie w partii wynikało jeszcze z udziału w Komitecie Narodowym w Paryżu w czasie I wojny, do którego lwowski zwierzchnik Ligi Narodowej wchodził obok Romana Dmowskiego, Ignacego Paderewskiego, Erazma Piltza, Mariana Seydy, Konstantego Skirmuntta, Władysława Sobańskiego i Maurycego Zamoyskiego.

Rozwadowski wyraził zasadniczą zgodę na przejęcie pisma przez „Zespół Stu”, uzależniając je jednak od ustalenia różnych warunków. Ujęte one zostały w kontrakcie kupna-sprzedaży, podpisanym w grudniu 1927 r. pomiędzy Mejbaumem i Krzeczunowiczem a Kucharskim. Kucharski odstąpił wtedy połowę własności pisma, drukarni i domu „Słowa Polskiego” grupie Mejbauma za cenę 400 tys. zł, z tym że pierwsza płatność w wysokości 200 tys. zł przypadała na połowę stycznia 1928 r., a całość spłat miała być zakończona z końcem grudnia 1930 r. Przedtem Kucharski wymówił jednak pracę Kordysowi i przekazał kierownictwo dziennika Mejbaumowi, który objął bezzwłocznie redakcję.

Rola Kucharskiego w tej transakcji nie była dostatecznie wyraźna. Niewątpliwie zachował on formalną lojalność w stosunku do władz partii, uzależniając transakcję z Mejbaumem od zgody decydujących czynników Ligi, ale później — po sporządzeniu pisma — podrażniony prawdopodobnie kunktatorstwem rzeczników partii, którzy zaprzepaścili posiadane w sprzedanym piśmie własne atuty, ogłosił list na łamach „Słowa Polskiego”, wyrażający ostry sprzeciw wobec różnych oświadczeń partii. Po sprawie „Słowa Polskiego” Kucharski już nigdy nie powrócił na arenę polityczną.

W ten sposób zrobiono pierwszy krok, w następstwie którego pismo dostało się faktycznie pod decydujące wpływy grupy Mejbauma. Jako

partnerów ze strony endecji otrzymał on trzech statecznych, starszych panów, nie posiadających jednak żadnego praktycznego związku ani z pismem, ani ze znajomością spraw wydawniczych i redakcyjnych. Nie interesował się nimi ani stary Stanisław Głabiński, pochłonięty wielką polityką, ani poczciwy, ale niezdolny z natury do decyzji Zdzisław Próchnicki, ani tym bardziej wiceprezydent miasta Leonard Stahl, uważający się za wysłużonego partyjnego emeryta. Natomiast Mejbaum i jego ludzie w średnim, najlepszym, wieku znajdowali się bezpośrednio w redakcji, a obecnie także już w wydawnictwie.

Formalnym prezesem „Zespołu Stu” był prof. Aleksander Domaszewicz, były lekarz Piłsudskiego, zdolny i wybitny chirurg, późniejszy senator, człowiek osobiście uroczy, ale do polityki wmanewrowany przez Mejbauma i nie mający o niej żadnego wyobrażenia. Mejbaum zajmował stanowisko sekretarza, a do władz wchodził m. in.: Stefan Uhma, prof. Adam Fischer, Kazimierz Brończyk, Stefan Mękowski i Antoni Nowak-Przygodzki. Ci dwaj ostatni wspólnie z Mejbaumem odgrywali główną rolę, angażując różnych ludzi nie mających ani aspiracji, ani zainteresowań politycznych, choć niezadowolonych z dotychczasowego stanu rzeczy głównie w endecji.

Sprawa całkowitego opanowania pisma przez nowych nabywców jednej połowy własności „Słowa Polskiego” stała się w tej sytuacji kwestią tylko krótkiego czasu. Realizatorem transakcji na gruncie lwowskim ze strony czynników rządowych, jak się później okazało, był nowy wojewoda lwowski Piotr Dunin-Borkowski, z którym „Zespół Stu” przez swoje koneksje z ziemiaństwem pozostawał najpierw w pośrednich, a potem już bezpośrednich stosunkach.

Ale właściwe sprężyny tej transakcji znajdowały się znacznie wyżej, o czym stało się wiadomo dopiero po 35 latach, z ujawnionych relacji Kazimierza Świtalskiego, byłego premiera rządu w okresie Piłsudskiego, a w krytycznym dla „Słowa Polskiego” momencie (w latach 1927—1928) dyrektora departamentu politycznego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, kierującego wtedy wraz z Walerym Sławkiem akcją wyborczą BBWR.

Z książki Michała Pietrzaka (*Reglamentacja wolności prasy w Polsce*) dowiadujemy się, że „w okresie kampanii wyborczej do Sejmu w 1928 r. celem osłabienia propagandy opozycyjnej i popierania list prorządowych uciekano się (ze strony czynników rządowych sanacji) do metod przekupywania prasy. Jednym z przejawów tej polityki rządu sanacyjnego — pisze Pietrzak w oparciu o akta sprawy K. Świtalskiego znajdujące się w Sądzie Wojewódzkim dla m. st. Warszawy — było nabycie w końcu 1927 r. przez podstawione osoby 50% udziałów endeckiego »Słowa Polskiego« we Lwowie i przeprowadzenie zmiany kierunku politycznego

pisma. Transakcja ta, którą z ramienia rządu przeprowadził Kazimierz Świtalski przy pomocy wojewody Piotra Dunin-Borkowskiego, kosztowała skarb państwa 120 tys. zł¹.

Wydaje się, że Dunin-Borkowski był w tej smutnej sprawie raczej tylko technicznym wykonawcą inicjatywy Kazimierza Świtalskiego, ponieważ niedługo potem wszedł on w ostry konflikt z nowymi dysponentami podstępem zakupionego „Słowa Polskiego” i na łamach innego już wtedy pisma endeckiego we Lwowie podejmował z Mejbaumem i towarzyszami ostre polemiki, jakby — nie będąc już wojewodą — usiłował się odciąć w ten sposób od moralnej odpowiedzialności za tę aferę.

Dunin-Borkowski, człowiek niewątpliwie inteligentny, bystry, a posiadający powiązania z ziemiaństwem, osiągnął swój cel w „Słowie Polskim” łatwiej, aniżeli mógł się tego na pewno spodziewać. Napotkał bowiem w „Zespole Stu” ludzi szczególnie miękkich moralnie i łatwych do pozyskania [...]

Współpraca „Zespołu Stu” z Borkowskim nie trwała długo, ponieważ wkrótce, w kilka miesięcy po opanowaniu „Słowa”, Borkowski odszedł do Poznania, gdzie jako wojewoda miał prawdopodobnie podjąć analogiczną próbę z „Kurierem Poznańskim” i tamtejszym, bardzo silnym, ośrodkiem endecji. Na gruncie poznańskim Dunin-Borkowski nie uzyskał jednak sukcesów. Natomiast nastąpił ostry konflikt pomiędzy nim a Mejbaumem na tle sprawy ukraińskiej. Jej echem była publiczna scysja prasowa na łamach „Kuriera Lwowskiego”, nowego pisma endeckiego we Lwowie, jaką były wojewoda stoczył z redaktorem „Słowa Polskiego”. W „Kurierze” wystąpił oczywiście tylko Borkowski, któremu chętnie użyczliśmy gościny, tym bardziej że nie pozostawił suchej nitki na swoim niedawnym pupilu. Mejbaum replikował na łamach „Słowa Polskiego”, występując z kolei przeciw swemu wczorajszemu protektorowi. Była to jedyna moralna satysfakcja, jaką uzyskaliśmy po utracie „Słowa Pol-

¹ Według ustnej relacji Władysława Świrskiego (przebywającego po II wojnie we Wrocławiu) w charakterze dysponenta i przedstawiciela kapitałów przeznaczonych na zakupienie połowy własności „Słowa Polskiego” przez grupę Mejbauma występował Krzeczunowicz. Partnerzy Mejbauma ze strony endecji byli przekonani, że Krzeczunowicz nie tylko reprezentuje te kapitały, ale że także wyłożył je z własnych funduszy. W świetle relacji K. Świtalskiego okazuje się, że Krzeczunowicz podjął się poufnej roli rzecznika kapitałów wyasygnowanych z funduszy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i przekazanych grupie Mejbauma na zakupienie połowy własności „Słowa”. W nieco późniejszym okresie nastąpił bliżej dotąd nie wyjaśniony konflikt między Mejbaumem a Krzeczunowiczem, który wystąpił z „Zespołu Stu”, ale mimo to nie ujawnił właściwego pochodzenia pieniędzy przeznaczonych na podstępne wyłudzenie pisma od jego właścicieli. Motywy tej dyskrekcji, w sprawie na pewno wątpliwej z punktu widzenia moralnego, także nie zostały wyjaśnione.

skiego", pośrednicząc w publicznej polemice pomiędzy sprawcami wyłączenia pisma od jego prawowitych właścicieli.

Przejęcie połowy własności „Słowa Polskiego” przez „Zespół Stu” oznaczało porażkę partii we Lwowie, po której partia już się nigdy nie podniosła. „Zespół Stu” nie odegrał wprawdzie w przyszłości żadnej roli politycznej, natomiast manewr Kazimierza Świtalskiego i Dunina-Borkowskiego wyznaczył tej grupie rolę uderzeniową na główną pozycję przeciwnika sanacji. Rolę tę zgodnie z planem rządu „Zespół Stu” skutecznie odegrał, doprowadzając następnie do upadku pisma i nie stwarzając w jego miejsce ani żadnej nowej trybuny, ani większego ośrodka politycznego.

Wkrótce po przejęciu połowy własności pisma „Zespół Stu” ogłosił na łamach „Słowa” swoje *credo* polityczne. „Państwo narodowe — głosiła ta deklaracja — jako państwo socjalne, musi się oprzeć na pełnej solidarności kapitału i pracy oraz na możliwie największej samowystarczalności. Nie wolno bogacić się z krzywdy innych i kosztem całości zarówno jednostkom, jak narodom. Władza najwyższa musi należeć do narodu. Naród zaś winien tę władzę sprawować przez grupę rządzącą, jaką wytwarza w sobie na drodze naturalnego doboru. Elita rządząca winna się opierać moralnie i fizycznie na organizacji wszystkich narodowo czynnych obywateli, władzę swą wykonywać przez ludzi kompetentnych i przy pomocy społecznych korporacji. Tak pojęty jutrzejszy ustroj narodowy różnić się będzie zasadniczo od dotychczasowego ustroju parlamentarnego, demoliberalnego, który ginie i degeneruje się na naszych oczach. Gdy elitę demoliberalną, wczorajszą tworzyło się i tworzy jeszcze dzisiaj przez wybór, to jutrzejszą, narodową tworzyć się będzie przez dobór”.

Deklaracja była kłębem zakłamanych frazesów, nie znajdujących żadnego pokrycia w rzeczywistej postawie jej autorów, przedstawicieli typowej burżuazji inteligenckiej, uzupełnionej gronem posiadaczy wielkiej własności ziemiańskiej, nie posiadających nigdy żadnego związku ze światem robotniczym i zajmujących wyniosłe stanowisko grupy rzekomo elitarniej. Wyznaniem tych ludzi pozostawała nadal koncepcja kapitalistyczna ze wszystkimi jej cechami w dziedzinie wyzysku stosowanego wobec klasy robotniczej i przewagi posiadaczy oraz podległości świata pracy. Oświadczenie „Zespołu Stu” nie wyjaśniało również, kto miałby dokonywać „doboru” grupy „rządzącej”. Wolno się było jedynie domyślać, że rolę tę „Zespół Stu” rezerwuje dla siebie. W każdym razie deklaracja ta, podobnie jak manifest Obozu Wielkiej Polski, ograniczała się do czysto ogólnikowej frazeologii, nie precyzując żadnego konkretnego i praktycznego programu. Oświadczenie „Zespołu” w porównaniu z deklaracją OWP zawierało jedynie większy zapas pozornie nowych frazesów, co jednak

przyczyniało się do tym większego mętniactwa ideologicznego tego dokumentu. Losy pisma w takim reku wróżyły najgorsze perspektywy.

Z początkiem stycznia zawarta została umowa pomiędzy Mejbaumem a partią, na mocy której ustalono, że „Słowo Polskie” pozostaje wyrazicielem ideologii zawartej w dziełach i pismach Jana Popławskiego i Romana Dmowskiego, popiera działalność polityczną kierunku reprezentowanego przez Związek Ludowo-Narodowy w granicach, które — jak zastrzeżili się przedstawiciele „Zespołu Stu”, a co lekkomyślnie aprobowali rzeczownicy partii — nie narażają bytu wydawnictwa oraz otwierają łamy dla propagandy ideologicznej „Zespołu Stu”.

Utworzono Radę Zawiadowczą, złożoną z Kornela Krzczunowicza, Wacława Mejbauma, Zdzisława Próchnickiego i Leonarda Stahla, z tym że w spornych sprawach politycznych rozstrzygać będzie sam Roman Dmowski, a w sprawach administracyjnych Stefan Uhma, dyrektor Miejskiej Komunalnej Kasy Oszczędności we Lwowie, członek „Zespołu Stu”. Kierownictwo redakcji powierzono wtedy ostatecznie Mejbaumowi, który miał stale współdziałać z przydzielonym mu przez partię referentem politycznym w osobie Zdzisława Stahla. Ponieważ nie osiągnięto porozumienia co do osoby redaktora naczelnego, sprawę tę odroczone. W ten sposób — nieodpowiedzialnie z punktu widzenia interesów partii — sformułowana umowa otwierała najszersze pole do najbardziej dowolnych interpretacji. „Zespół Stu”, pozostający w ścisłym porozumieniu z Duninem-Borkowskim, a w rzeczywistości z Kazimierzem Świtalskim z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, rozumiał swoją sytuację w piśmie jako rolę jedyne go dysponenta. Obecność Zdzisława Stahla jako rzecznika interesów partii nie posiadała najmniejszego znaczenia w tym układzie, tym bardziej że sam Stahl znajdował się na rozdrożu w porachunkach z partią. Stahl ustąpił z redakcji w niespełna zresztą dwa miesiące później.

Stało się to w bezpośrednim następstwie wyborów, które przyniosły druzgocącą klęskę endecji. Wybory r. 1928 odbywały się jeszcze w o tyle normalnych warunkach, że rząd nie zastosował szczególnych nacisków i metody fałszowania wyników wyborczych. Do wyborów zgłoszono w całym kraju 717 list, z czego we Lwowie 11. Największa ilość list, bo 20, zgłoszona była w okręgu złoczowskim i 19 w przemyskim. Orgia rozbicia i szaleństwa partyjnego świeciła wtedy prawdziwe triumfy. Lista rządowa otrzymała numer 1 i nazwano ją popularnie „jedyнкą”. Lista endecka, nazwana Blokiem Katolicko-Narodowym, oznaczona została numerem 24. We Lwowie po raz pierwszy kandydował znany adwokat Jan Pieracki, głośny w późniejszym okresie jako jeden z oskarżycieli sejmowych ministra skarbu Czechowicza, pociągniętego do odpowiedzialności

i postawionego przed Trybunałem Stanu za użycie pieniędzy rządowych na cele wyborcze listy sanacyjnej [...]

Jego przeciwnikiem z listy „jedyńki” był we Lwowie min. Eugeniusz Kwiatkowski. W wyborach obaj zdobyli mandaty, z tym jednak że „jedyńka” uzyskała 24 tys. głosów, lista zaś endecka zaledwie 15 tys. Dwa dalsze mandaty zdobyli syjoniści. Komuniści lwowscy uzyskali wtedy 3500 głosów. Wyniki wyborcze w całym kraju okazały się jednak dla endecji wręcz katastrofalne. Z pozycji największego w Sejmie stronnictwa spadła do grupy rozporządzającej zaledwie 37 mandatami, wobec 128 mandatów listy sanacyjnej, 63 PPS, 36 Wyzwolenia, 9 Narodowej Partii Robotniczej, 15 prawicowego Selrobu, 56 bloku mniejszości narodowych oprócz 6 mandatów Zjednoczenia Narodowego Żydów, 31 bloku katolicko-ludowego, 5 Jedności Robotniczo-Chłopskiej, czyli komunistów, 9 Ukraińskiej Socjalistycznej Włościańsko-Robotniczej Partii, czyli komunistów ukraińskich i kilku innych drobniejszych grupek [...]

W „Słowie Polskim” nazajutrz po ogłoszeniu wyników wyborów ukazał się redakcyjny artykuł, w którym zaskoczeni i oszołomieni starzy czytelnicy endeckiego dziennika czytali wywody Stefana Mękarskiego:

„Kłęska wyborcza Komitetu Katolicko-Narodowego jest znacznie większa niż ta, którą przewidywano. Z wielkiego niegdyś stronnictwa zostały ruiny, które nie powinny już być zawadą w regeneracji nacjonalizmu polskiego. Ruch demokratyczno-narodowy w Polsce, od czasów Popławskiego i pierwszych lat działalności Dmowskiego, uległ w ostatnim dwudziestoleciu ewolucji, aż zgubił się całkowicie w klerykałnym zaułku kontrrewolucyjnego legitymizmu. W przystosowaniu swych ideałów do warunków realnych, do rzeczywistości rządów zaborczych, do interesów i potrzeb sfer gospodarczych, do ciemnoty i małoduszności mas wyborczych, w demagogicznych swych postawach i nie kończących się oportunistycznych kompromisach — moralnie i myślowo wyrodził się i wyjałowiał. Ruch demokratyczno-narodowy w Polsce zdeprawowany oportunistycznym stosunkiem do państwa zaborczego, na jaki skazała go polityka realna jego przywódcy, zdemoralizowany demagogią, do której zmuszał go demoliberalny ustrój Rzeczypospolitej, utracił zdolność opanowania polskiej rzeczywistości. Nie mógł się odrodzić politycznie i gospodarczo w umiarkowanie liberalnych okopach OWP ani w akcji wyborczej komitetu katolicko-narodowego, który nie był niczym innym, jak tylko komitetem pogrzebowym Związku Ludowo-Narodowego”.

Nie można było oczekiwać bardziej rażącego pioruna z jasnego nieba aniżeli ten artykuł na łamach „Słowa Polskiego”, sztandarowego organu Narodowej Demokracji od przeszło ćwierćwiecza.

Mejbaum nie ograniczył się jednak do tego tylko ataku. Już nazajutrz, 9 marca, „Słowo Polskie” pisało w następnej enuncjacji: „W dniu wczor-

rajszym podjęliśmy otwartą walkę o uzdrowienie i regenerację obozu narodowego, który wieloletnia błędna i zła polityka przywódców ZLN doprowadziła do ruiny. »Słowo Polskie« jest organem kierunku narodowego, a będąc wierne sobie i ideologii na łamach jego tworzonej przez Jana Popławskiego, nie może dłużej bezkrytycznie popierać samobójczej polityki Związku Ludowo-Narodowego. Będąc organem narodowym, »Słowo Polskie« nie może być dalej partyjnym organem ZLN i organem takim być przestaje. Przestając służyć jednej partii, »Słowo Polskie« popiera wszystkie bez wyjątku ugrupowania polityczne, które stoją na gruncie zasad moralnych Kościoła katolickiego i służą uczciwie interesom narodu i państwa. Wobec rządu »Słowo Polskie« zajmuje stanowisko rzeczowej krytyki. Politykę rządu będzie zwalczać lub popierać zależnie od tego, czy uważać ją będzie za korzystną dla narodu i państwa, czy też za złą».

W rzeczywistości za „katolickim” parawanem tych zawitych deklaracji „Słowo Polskie”, pod kierunkiem Mejbauma i towarzyszy z „Zespołu Stu”, stało się w tym dniu organem sanacyjnym i w ciągu już kilku następnych dni ujawniło niedwuznacznie swoje stanowisko. Endecja została w ten sposób pozbawiona głównego swego ramienia na terenie całej lwowskiej dzielnicy. Cios był druzgocący.

Władze partyjne ogłosiły oświadczenie podpisane przez główne, lokalne autorytety partii: Stanisława Głabińskiego, Jana Pierackiego, Zdzisława Próchnickiego, Jana Rozwadowskiego, Władysława Świrskiego i Leonarda Stahla. „Artykułami tymi — oświadczały przywódcy endeccy — dopełnił dr Wacław Mejbaum miary i wykreślił się ostatecznie z naszych szeregów. Istniejemy i dalej istnieć będziemy. Przetrwamy i ten ciężki okres, jak przetrwaliliśmy tyle gorszych rzeczy”. W oświadczeniu stwierdzono, że w r. 1922 „Słowo Polskie” stało się w połowie własnością partii, a w połowie Władysława Kucharskiego, który jako jej pełnomocnik zajmował się administracją dziennika. W r. 1926 Kucharski ujawnił chęć sprzedania swoich udziałów, o czym powiadomił partię, ale sprawa wymagała dłuższego czasu. W połowie grudnia 1928 r. Kucharski niespodziewanie sprzedał swoją połowę Mejbaumowi.

Oświadczenie partii pokrywało się z oświadczeniami Mejbauma. Niewątpliwą winę ponosił Kucharski, który nie tylko w świetle obu wypowiedzi sprzedał swoje udziały nowym nabywcom, ale mianował przedtem redaktorem Mejbauma. W niedługi czas później oświadczenie lokalnej partii potwierdziły centralne jej czynniki, zapowiadając proces przeciw Mejbaumowi. Analogiczne oświadczenie wydała Młodzież Wszechpolska, wzywając niektórych członków organizacji, zaangażowanych w „Zespole Stu”, do opuszczenia jego szeregów. Zarządzono oficjalnie bojkot pisma, który dał pełny rezultat, ponieważ główną bazą czytelnictwa tego dzien-

nika były jednak koła mniej lub więcej związane z partią. Bojkot stał się z kolei potężnym ciosem dla nowych wydawców.

„Zespół Stu” wbrew swej nazwie, jak się okazało na podstawie jednego z oświadczeń ogłoszonych w tym czasie, liczył zaledwie 42 członków i nie posiadał żadnych szerszych wpływów poza Lwowem. Wobec ogłoszonego bojkotu pisma grupa Mejbauma była bezsilna. Mogła liczyć wyłącznie na subwencje rządu, który również nie był zainteresowany w dłuższym podtrzymywaniu raz podciętego pisma. We Lwowie ukazywał się zresztą dziennik wydawany i subwencjonowany bezpośrednio przez rząd.

„Słowo Polskie” pod redakcją Mejbauma rychło straciło nerw aktualności i stało się pismem nudnym, jakbyśmy to dziś powiedzieli — obciążonym „drętą mową”, w której wyróżniało się wtedy szczególnie pióro Stefana Mękarskiego. Zaczął się okres upadku tego świetnie ongiś prosperującego organu. Przy „Słowie Polskim” pozostała nieliczna grupa pisarzy, powiązanych pośrednio lub bezpośrednio z „Zespołem Stu”, a wśród nich m. in. Adam Fischer, Jadwiga Gamska, Adam Mitscha, Kazimierz Brończyk, Eustachy Gaberle, Stanisław Łempicki, Rita Rey, Franciszek Smolka, Władysław Kozicki i poeta Włodzimierz Lewik. Ci dwaj ostatni przeszli potem do współpracy z nami. Ciężka agonía pisma trwała kilka lat, bo aż do r. 1934.

* *
*

Z chwilą ujawnienia nowej tendencji „Słowa Polskiego” ustąpiłem z redakcji, chociaż pozostali w niej inni moi koledzy, nawet z „Zetu”. Nie widziałem dla siebie możliwości dalszej współpracy z tym pismem. Powodów było kilka.

Niektóre tendencje „Zespołu Stu” w najogólniejszym ujęciu odpowiadały mojemu stanowisku. Należała do nich sprawa stosunku tej grupy do starych endeków i dotychczasowej linii partii, zdradzającej całkowity zastrój i postawę obcą jakimkolwiek pojęciom koncepcji, choćby częściowo reformatorskiej. Niemniej decyzja opanowania czołowego organu partii, w trudnej godzinie jej dotkliwej klęski wyborczej i pogromu jej sił, wzbudzała nie tylko we mnie szczególną odrazę i stanowczy sprzeciw. Walka polityczna, nawet z najbardziej skrajnym przeciwnikiem, posiada zawsze swoje określone reguły. Walka z wewnętrzną frakcją własnej partii posiada reguły te znacznie bardziej sprecyzowane. Wolno i należy ją oczywiście podjąć z intencją nawet zlikwidowania przeciwnika, ale w okolicznościach nie nasuwających poważnych zastrzeżeń moralnych. Krok grupy Mejbauma zastrzeżenia te w najwyższym stopniu wywoływał.

Akcja wymierzona przeciw starym endekom i nieodpowiedzialnej linii partii była na pewno słuszna, ale nie zostały jeszcze wówczas wyczerpane

wszystkie środki zdążające do zmiany układu sytuacji wewnątrz partii. Był to dopiero początek akcji. Cokolwiek powiedziałyby się o inicjatywie OWP, była ona na pewno próbą przeobrażenia partii i usunięcia z niej starej gwardii. Dalsze wypadki potwierdziły, że dążenie w tym kierunku nie stanowiło w szeregach OWP tylko pobożnych życzeń czy frazesów. Doprowadziło w końcu do rozłamów i wytworzenia nowych formacji. Ale stało się to dopiero w r. 1934, co świadczyło, że nowe siły podjęły najpierw cierpliwie wszystkie starania, aby cel swój osiągnąć w wewnętrznych ramach obozu. Skoro okazało się to niemożliwe, zdecydowano wyjść z jego szeregów. W r. 1928, w niespełna dwa lata po zamachu majowym, było to o wiele za wcześnie, a realizowane nazajutrz po wielkiej klęsce wyborczej obozu stwarzało fatalne wrażenie dezercji i najgorszego, taniego oportunistu. Zagarnięcie przy tej okazji pisma, które co najmniej w połowie było nadal własnością partii, a od przeszło 25 lat bezspornym jej organem, rzucało na tę sprawę cienie przykrej, niemal kryminalnej afery. Jako dziennikarz i jako działacz polityczny uważałem za swój obowiązek nie uczestniczyć w żadnej formie w jej umacnianiu.

Znaczną rolę w mojej decyzji odegrała także okoliczność, że „Zespół Stu” w swoim oświadczeniu ogłoszonym na łamach pisma, zaatakował również OWP, w którym niedawno przyjął jednak udział, skoro zgodził się na mianowanie Stefana Uhmy „oboźnym” we Lwowie. Ta nielojalność była szczególnie drażniąca i stwarzała wrażenie nieoczekiwanej i przygotowanej z góry dywersji. Jeżeli bowiem nawet w subiektywnym przekonaniu Mejbauma niesłuszne i szkodliwe było zlekceważenie ambicji tej grupy przez Dmowskiego i nieuwzględnienie przez niego jej ludzi przy obsadzaniu stanowisk w OWP, to wolno mu było nie godzić się na żaden udział w organizowanej formacji. Skoro go jednak przyjął — zobowiązany był dochować lojalności przynajmniej w dłuższym okresie, w którym można by się przekonać, że formacja ta zawiodła. Na wiosnę 1928 r. OWP nie mógł wykazać jeszcze swojej przydatności, skoro powstał dopiero rok przedtem.

Nie posiadałem zaś w ogóle najmniejszego zaufania do „Zespołu Stu”, pomimo jego poglądów zbliżonych w niektórych sprawach do naszego stanowiska. Uważałem go za grupę maniaków, występujących w sztucznej pozie intelektualistów, nie posiadających należytego przygotowania teoretycznego ani niezdolnych do odegrania jakiegokolwiek roli politycznej. Upojeni banałem własnej spekulacji myślowej, uczestnicy „Zespołu” nie reprezentowali żadnych wartości również w dziedzinie praktycznej polityki.

Ilustracją groteskowych teorii rozważanych w tej grupie był np. pogląd, że w gospodarce polskiej należy wprowadzić „system Forda”. System ten — w interpretacji Mejbauma — polegał na ukrytym wyzysku pracownika, polegającym na przyznaniu mu symbolicznej, bardzo niskiej

płacy i zmuszaniu do pracy akordowej, której wynagradzanie miało być wyłącznym, dowolnym przywilejem pracodawcy. Tego rodzaju pomysły nie miały najmniejszego uzasadnienia na gruncie szczególnie polskiej, ówczesnej rzeczywistości i stanowiły nieuczciwą formę wyzysku pod pozorem stwarzania pracownikowi większych szans zarobku. „Teorię Forda” w wydaniu „Zespołu Stu” rozwinął Stanisław Kupczyński na łamach „Słowa” w cyklu zatytułowanym *Budowniczy motorów i życia*. Autor ten nie pozostawił po sobie trwałego śladu w teorii ekonomii polskiej, natomiast cykl Kupczyńskiego wykazał ignorancję grupy, która z tego rodzaju bałamuctw usiłowała formułować swój program. Nie omyliłem się w ocenach, ponieważ bilans końcowy tej efemerydy okazał się bardziej niż nikły i gdyby nie sprawa „Słowa” — jeszcze na długo przed II wojną rozwiałaby się ona w całkowitej niepamięci.

* *

*

Zanim jednak z końcem stycznia 1928 r. opuściłem redakcję, podjęta została decyzja powołania nowego, choćby prowizorycznego pisma, które bodaj częściowo wypełniłoby zadania wyłaniające się w związku ze zbliżającymi się szybko wyborami. Sytuacja była i groźna, i nagła. Inicjatywę podjął Świrski wspólnie z nieliczną grupą starszych endeków. Pomimo że formalnie znajdowałem się jeszcze w „Słowie”, przyłączyłem się do tej akcji i już w dniu 8 stycznia 1928 r. ukazał się pierwszy numer tygodnika politycznego pt. „Sztandar Polski”. W pierwszym numerze jako wydawca występował Władysław Świrski, ja jako redaktor, a Feliks Pszona jako redaktor odpowiedzialny. Redakcja mieściła się przy ul. Kopernika 20. Jednak już w drugim numerze moje nazwisko zniknęło w podpisie, ponieważ uznano, że wobec ciągle pozornie nie wyjaśnionej sytuacji w „Słowie”, powinienem na razie pozostawać w tym piśmie. Mimo to redagowałem „Sztandar” bez przerwy przez cały okres jego ukazywania się, zresztą niedługi, bo pismo istniało tylko do marca. Obliczone zostało wyłącznie na okres wyborczy. Partia nie miała ani środków materialnych, ani warunków technicznych do szybkiego ufundowania trwałego dziennika, a choćby tygodnika.

„Sztandar” miał w swoim krótkim okresie aż trzy fazy. Najpierw przez miesiąc był tygodnikiem i przedstawiał się wzorowo zarówno pod względem redakcyjnym, jak technicznym. Wydałem go dokładnie w tej samej postaci, jak krakowską „Trybunę Narodu”. Następnie w lutym zamieniono go na dziennik, wydawany w objętości zaledwie czterech stron średniego formatu; składany ręcznie, przedstawiał się od strony technicznej fatalnie. W rzeczywistości była to raczej codziennie wyda-

wana ulotka wyborcza, urozmaicona okrucami informacji dziennikarskich. Po klęsce wyborczej w marcu „Sztandar” ukazał się jeszcze raz albo dwa razy jako tygodnik, po czym zniknął z rynku. Była to najbiedniejsza, najbardziej uboga pod względem technicznym i najkrócej wydawana gazeta, jaką w życiu redagowałem. Zaimprovizowana w największym pośpiechu i w sytuacji zupełnie wyjątkowej i ciężkiej, jaka się zdarzyła na tle „Słowa”, inicjatywa ta, pomimo wielkich braków, świadczyła o dużym zapale zespołu i wielkiej gotowości do działania w trudnym położeniu. Nie trzeba dodawać, że współpraca z tym pismem była całkowicie bezinteresowna. Pismo miało zaalarmować opinię publiczną o wypadkach w „Słowie”, wezwać ją do udziału w wyborach i stać się dowodem, że partia pod zadaniem jej ciosem nie zapadła się w nicość. Te trzy zadania zostały wykonane.

Równolegle przystąpiliśmy do wydawania „Lwowskiego Biuletynu Politycznego” (LBP), którego celem było informowanie prasy o stanowisku, akcji i wydarzeniach związanych z działalnością obozu pozbawionego organu prasowego. Zostałem redaktorem także i tego „Biuletynu”, którego wydawanie nie przysparzało zresztą szczególnych trudności materialnych. Ukazywał się aż do chwili objęcia przez nas „Lwowskiego Kuriera Porannego”. Prasa korzystała chętnie z serwisu zamieszczonego w „Biuletynie”, ponieważ nasze stanowisko w istniejącej sytuacji budziło naturalne zainteresowanie wśród opinii publicznej.

Przez cały najbliższy okres, obejmujący 12 miesięcy, nie było we Lwowie organu endeckiego. Oznaczało to dla mnie osobiście drugi okres bezrobocia. Partia wezwała swoich zwolenników do czytania „Gazety Warszawskiej”.

Następnym etapem stał się „Lwowski Kurier Poranny”, później „Kurier Lwowski”.

* *
*

[...] W r. 1928 wzmogłem moją współpracę z „Kurierem Poznańskim”, na którego łamach ogłaszałem znaczną ilość korespondencji lwowskich, omawiając w nich różne bieżące wydarzenia. Współpracę z tym pismem nawiązałem już w latach poprzednich, ale korzystałem z niej w mniejszym zakresie. Po ustąpieniu ze „Słowa Polskiego” „Kurier Poznański” stał się dla mnie jedną z skuteczniejszych trybun prasowych, odpowiednich do wypowiadania opinii w sprawach bieżących we Lwowie. Równocześnie współpraca z nim w pewnym stopniu ratowała moją beznadziejną wówczas sytuację finansową. Żywy kontakt z pismem poznańskim kontynuowałem aż do r. 1934. W tym właśnie czasie w „Ku-

rierze Poznańskim” ogłosiłem m. in. obszerną recenzję z książki gen. W. Sikorskiego pt. *Nad Wisłą i Wkrą*.

* *
*

W marcu 1928 r. ukazał się w Poznaniu pierwszy numer „Awangardy”, miesięcznika wydawanego i redagowanego przez grupę tamtejszych młodych działaczy i publicystów Obozu Wielkiej Polski. Autorami zasiłającymi to pismo byli w pierwszym okresie: Zygmunt Wojciechowski, Ryszard Piestrzyński, Jan Zdzitowiecki, Zdzisław Stahl, Stefan Dąbrowski. W grudniowym numerze ukazała się moja obszerna rozprawa pt. *Rusini w chwili obecnej*, w której przedstawiałem stan ukraińskiego posiadania na podstawie dłuższych i gruntownych badań, opartych m. in. na źródłach ukraińskich, znalezionych w bogatej bibliotece ukraińskiego Towarzystwa im. Szewczenki we Lwowie.

* *
*

[...] Moja nowa placówka prasowa w początkowym, dość długim, okresie urągała regułom normalnej pracy dziennikarskiej. Inicjatorem utworzenia nowego dziennika w miejsce straconego „Słowa Polskiego” stał się znowu Władysław Świrski, który nie tylko kierował się rzeczywistą potrzebą istnienia nowego organu partyjnego, ale ocenił również moment za właściwy, aby przywrócić w partii równowagę na rzecz tego czynnika, który skupiał się wokół Stanisława Grabskiego. Wszystkie frakcje obozu — oprócz odsuniętego S. Grabskiego — były skompromitowane aferą „Słowa”; odpowiedzialność za niedołężne i karygodne załatwienie sprawy z tym pismem spoczywała na trzech dostojnych mężach, odgrywających rolę oficjalnych rzeczników partii w spółce z Mejbaumem. Ten sam, jeśli nie większy, ciężar odpowiedzialności spoczywał na głównym kierowniku tajnej organizacji J. Rozwadowskim, który udzielił zgody i patronował nowej sytuacji w dzienniku. Skompromitowany był Zdzisław Stahl jako polityczny referent Mejbauma, ponieważ nie potrafił opanować sytuacji w redakcji, a to z kolei było równoznaczne z kompromitacją miejscowego OWP. Władysław Świrski trafnie docenił właściwą okazję do startu, ale popełnił błąd przez zaangażowanie do swojej inicjatywy nowego posła lwowskiego Pierackiego. Był to wprawdzie na arenie politycznej człowiek nowy i można było mieć nadzieję, że zajmie rozsądne stanowisko, ale w tym wypadku nadzieja okazała się płonna.

Co prawda nie od razu, ale dopiero po kilku latach, niemniej rezultat końcowy był opłakany.

Partia nie posiadała pieniędzy, nie było również chętnych ofiarodawców, gdy tymczasem sytuacja stała się paląca. Każdy dzień zwłoki, luki i nieobecności na rynku mógł wzmocnić szanse „Zespołu Stu”. Strach miał wielkie oczy.

Na początku maja 1928 r. ukazał się we Lwowie nowy dziennik pt. „Lwowski Kurier Poranny”, którego wydawcą była spółdzielnia utworzona przez zespół ludzi z Centralnej Kasy Rzemieślniczej. Był to organ grupy ze sfer rzemieślniczych, których rzecznikami w piśmie stali się: dyrektor Kasy Franciszek Szpineter, oraz stolarz lwowski Nikodem Herold, podpisujący pismo jako redaktor odpowiedzialny. Redaktorem naczelnym został Józef Ziemkowski. Wszyscy trzej na lwowskim rynku dziennikarskim, jak w ogóle na szerszej arenie publicznej, byli ludźmi zupełnie nie znanymi. Ich dziennik przedstawiał się bardziej niż skromnie i prymitywnie. Składany ręcznie, drukowany był najpierw w Drukarni Mieszczańskiej przy ul. Piekarskiej, potem przeniesiony do Kresowej przy ul. Zimorowicza. Redakcja mieściła się przy ul. Kościelnej w budynku Centralnej Kasy. Obaj rzecznicy wydawnictwa reprezentowali sobą idealny typ łyków małomieszczańskich, oddanych jednak szczerze idei pisma. W tych warunkach pismo nie zdobywało rynku i po kilku miesiącach znalazło się w poważnych tarapatkach. Już w sierpniu Ziemkowski ustąpił ze stanowiska redaktora i w jego miejsce wszedł niejaki Bolesław Zieliński, były prezydent Łucka, usunięty z tego stanowiska za jakieś nadużycia, postać również zresztą nie znana w kołach dziennikarzy lwowskich.

Bezpośrednio po utracie „Słowa Polskiego”, jeszcze na przełomie zimy i wiosny 1928 r., Świrski w porozumieniu z miejscowymi notablami partii zorganizował — jak wiadomo — czasopismo „Sztandar Polski”, które w gorącym okresie przedwyborczym miało wypełnić fatalną lukę prasową. Opublikowałem w tym piśmie artykuł pt. *Najmłodszy berbec sanacji*, który spowodował skargę Mejbauma przeciw redakcji. Sąd uznał jednak, że określenie „berbec” posiada wydźwięk raczej pieszczotliwy i nie może być przyczyną obrazy, natomiast przyjął wnioski obrony, która przy gwałtownych sprzeciwach adwokata Nowaka-Przygodzkiego — rzecznika oskarżyciela prywatnego, przedstawiła długi szereg świadków na dowód, że Mejbaum przywłaszczył sobie „Słowo Polskie”. W procesie tym postanowiliśmy przeprowadzić publicznie dowód prawdy przeciw nowym dysponentom „Słowa”, aby stwierdzić, że doszli oni do pisma drogą nieuczciwą i podstępą.

Próby zastąpienia lokalnego organu importowaną z Warszawy „Gazetą Warszawską” (do której pisałem korespondencje) nie dały wyniku.

Sytuacja stała się dramatyczna. Pomimo to udało się ją prowizorycznie rozwiązać dopiero po roku.

Korzystając z trudnej sytuacji „Lwowskiego Kuriera Porannego”, Świrski i inni pełnomocnicy partii weszli w pertraktacje z wydawcami tego pisma i w dniu 15 marca 1929 r. ukazał się pierwszy numer „Lwowskiego Kuriera Porannego” z artykułem wstępnym Świrskiego i z moim przeglądem prasy. Obaj weszliśmy w tym dniu do redakcji, która pozostawała ciągle pod redakcją wspomnianego Bolesława Zielińskiego. Jego losy były jednak przesądzone, ponieważ było wiadomo, że Zieliński skłania się ku piłsudczyźnie i że na tym tle będzie próbował nadawać pismu kierunek niezgodny z linią nowego zespołu wydawniczego. Przewidywania okazały się słuszne, ponieważ w kilka dni później Zieliński z okazji imienin Piłsudskiego oddał do druku artykuł niezgodny z naszym punktem widzenia. Do moich zadań należała m. in. ocena tekstów pod względem zawartych w nich tendencji. Skorzystałem wtedy ze swoich uprawnień i zawiadomiłem go, że artykuł ten wycofuję. Zieliński zaprotestował jako redaktor naczelny, ale upewniłem go w sposób stanowczy, że jego opinia w tej sprawie nie posiada żadnego znaczenia i krótkie spięcie skończyło się tego dnia wyjściem Zielińskiego z redakcji. W jego miejsce wszedł bezzwłocznie Świrski.

Praca w nowym dzienniku była w tym czasie niekończącym się pasmem udręk różnego rodzaju. Rozpoczęliśmy ją we wspomnianej tu już Drukarni Kresowej, podobno ongiś doskonałej. Posiadała ona duże tradycje: założona jeszcze w r. 1842, należała do jednej z najstarszych we Lwowie. Po jej założycielu drukarnię w r. 1900 objął Mieczysław Szyjkowski. Tutaj Popławski i Dmowski drukowali „Przegląd Wszechpolski”, składano w tej drukarni „Gazetę Narodową”, „Kuriera Lwowskiego” redagowanego przez Wysłoucha, i „Monitora”. Obecnie jednak zakład przedstawiał obraz nędzy i niewiarygodnego zaniedbania technicznego. Leżały tam, w r. 1929, nie naruszone i nie porozkładane składy różnych ogłoszeń i zarządzeń władz austriackich z orłami cesarskimi sprzed 15 i 20 lat. Chaos, istniejący w tym przedsiębiorstwie, był fantastyczny. Nie używano maszynek i w drukarni pracowali tylko ręczni zecerzy o najniższych kwalifikacjach. Właściciel był zdzieciniałym, na pół sparaliżowanym i zupełnie bezwolnym staruszkiem, który nie zajmował się już pracą. Spędzał dni i noce beczynnie w domu, a drukarnią kierował jego syn, także Mieczysław. Cała rodzina mogła stanowić tło do powieści, w której nie brakowałoby żadnych elementów interesującego wątku fabuły. Było trzech synów, z których jeden popełnił samobójstwo, i trzy córki, z których dwie były bardzo urodziwe. Matka ongiś podobno także bardzo piękna, uzupełniała ten niezwykły dom pełen powikłań, erotycznych konfliktów i nieustannego podniecenia. Stary Szyjkowski zmarł w r. 1931.

Otrzymaliśmy w jego mieszkaniu przy ul. Zimorowicza 14 maleńki pokój dla całej redakcji, stosowny, z biedą, dla trzech osób. Przygotowywanie numeru z korektą i łamaniem trwało codziennie od wczesnego przedpołudnia do 5 nad ranem następnego dnia, a czasem nawet dłużej. Nie było administracji. Ponieważ pismo posiadało charakter przyczółka mostowego i za wszelką cenę należało je utrzymać, zanim nie nadejdą lepsze dni, wynagrodzenia uchybiały wszelkiej normie. Pamiętam, że pobierałem wtedy 90 zł miesięcznie pensji. Nie wystarczało to nawet na czynsz mieszkaniowy. Ale mimo to pracowałem w tym dzienniku z największym zapałem, ponieważ każdy miesiąc przynosił postęp i dziennik wyraźnie się umacniał. Stałem się rychło faktycznym dysponentem redakcji, ponieważ Świrski bez przerwy był zajęty sprawami wydawniczymi, które wymagały olbrzymich wysiłków. A poza tym dla redaktora naczelnego nie było miejsca w pokoju, jeśli zważyć, że ja zajmowałem jedno biurko, a reporter drugie. [...]

Skład redakcji przedstawiał się bardziej niż skromnie. Reporterem był niejaki Jan Piątek, odziedziczony po Zielińskim, ćwierćinteligent, z bodaj nie ukończoną szkołą powszechną, który nie umiał sformułować poprawnie zdania. Przeważnie opowiadał mi swoje spostrzeżenia, a ja je redagowałem. Przez dłuższy okres czasu zajęty byłem w redakcji przez 24 godziny z przerwą na niedługi sen. Z czasem redakcja okrzepła i skupiło się przy niej większe grono ludzi. Jako drugi publicysta polityczny — obok Świrskiego — pojawił się niebawem na łamach pisma Władysław Tarnawski, profesor Uniwersytetu Lwowskiego, świetnie zapowiadający się anglista, który w tym czasie wdał się niepotrzebnie w politykę i w dziennikarstwo, chociaż wówczas i później nie był ani dziennikarzem, ani publicystą, ani również politykiem.

Niektóre koła endeckie udzieliły pismu poparcia moralnego. We wstępnym okresie drukowali w nim artykuły przedstawiciele demokratycznego skrzydła partii: Stanisław Głębiński, Jan Kornecki, Stanisław Rymar, ale przede wszystkim Stanisław Grabski, który rozpoczął druk cyklu artykułów wymierzonych dyskretnie przeciw OWP i nowinkom wprowadzanym do partii przez Dmowskiego. Sporadycznie współpracowali wtedy z pismem: Czesław Lechicki, Józef Skoczek, Marian Wolańczyk, Henryk Berger jako recenzent muzyczny, Józef Bajsarowicz, Maksymilian Thulie — senior lwowskiej chadecji, profesor Politechniki i senator, już wówczas starzec na pół zdziecinniały, znany z homeryckich bojów w lwowskiej Radzie Miejskiej przeciwko wszelkim choćby pozorom golizny, reprezentowanej na scenie przez aktorki i baletnice.

Teodor Parnicki rozpoczął wtedy w „Lwowskim Kurierze Porannym” druk swojej pierwszej powieści, jeszcze „egzotyczno-sensacyjnej”, pt. *Trzy minuty po trzeciej*. Była ona płodem jego wstępnej twórczości, tak zna-

komicie i w zupełnie innym stylu zapisanej później na kartach literatury. Parnicki w tym czasie był studentem uniwersytetu, przybyłym po zakończeniu wojny z Charbina, dokąd po rewolucji przewiozła go jego macocha z Rosji. Parnicki od wczesnych lat był sierotą: ojca stracił w czasie rewolucji październikowej, a matka umarła po jego urodzeniu. Wychowywał się w Charbinie, co wśród młodego środowiska we Lwowie nadawało mu posmaku pewnej egzotyki, tym bardziej że lwowski charbińczyk wyróżniał się usposobieniem nieco dziwacznym i intrygującym. Parnicki był małomówny, raczej niedostępny, zaniedbany zewnętrznie, miał charakterystyczny chód, a oczy i rysy twarzy posiadały wyraz, który byliśmy skłonni oceniać jako ślady mongolskiego pochodzenia, co zresztą było zupełnie bezpodstawne, ponieważ Parnicki pochodził z rdzennie polskiej rodziny. Cieszył się wśród nas powszechną sympatią i przeczuwaliśmy w nim pisarza większej klasy, chociaż nie przewidywaliśmy jeszcze wtedy, że osiągnie tak znaczny rozgłos i tak wysoką rangę, która stała się potem jego udziałem w literaturze polskiej. Młody Parnicki, chociaż nie angażował się czynnie w życie ideowe młodzieży, to jednak pozostawał w przyjaznych, bliskich kontaktach z naszymi kołami i stąd trafił na łamy „Lwowskiego Kuriera Porannego”, bodaj za pośrednictwem Świrskiego. Współpracował z nami również i w dalszych latach mniej więcej do r. 1934 [...]